

No to słuchaj, bo to też o tobie.

Ta książka nie jest „historią o mnie”. To raport z wnętrza człowieka, który przez pół życia próbował nie być sobą – aż w końcu się tym znudził, jak oglądaniem polskich seriali. I zgadnij co. Ty pewnie też odstawiasz ten sam teatrzyk. Udajesz, że wszystko jest cacy, że wiesz, o co chodzi w tej grze zwanej życiem, a tak naprawdę nie masz pojęcia, jak bez instrukcji obsługi włączyć pralkę. I dlatego zapnij pasy, bo to będzie jazda bez trzymanki przez bagno twoich własnych lęków.

Zaczyna się od przedszkola. Nie z sentymentu, bo kto pamięta przedszkole inaczej niż jako poligon doświadczalny dla przyszłych nerwic? Tam po raz pierwszy usłyszałem, że coś we mnie „nie pasuje”. Ten moment, kiedy inne dzieciaki bawią się w piaskownicy, a ty stoisz z boku i czujesz się jak kosmita na wycieczce szkolnej. A potem? Potem jest to samo. Szkoła, w której uczysz się mówić tylko wtedy, gdy jesteś pewien, że brzmisz wystarczająco pewnie, bo każde zająknięcie się to publiczna egzekucja. Liceum, czyli jeden wielki konkurs, kto szybciej znajdzie sens życia w cytacie z piosenki, podczas gdy nikt nie ma odwagi powiedzieć, że sens życia polega na znalezieniu działającego pilota do telewizora. Studia? To już próba generalna dorosłości: grasz w odpowiedzialność, choć w środku dalej płaczesz, bo ktoś nie odpisał ci na Messengerze, a świat wali ci prosto między oczy: bądź dorosły, bo inaczej zje cię ZUS!

Opowiadam o tym, bo to nie są etapy, które mijasz jak stacje metra. To są warstwy, które się na ciebie nakładają. Każda zostawia ślad. Bliznę. I ją nazywasz potem charakterem. Albo zaburzeniami osobowości, jeśli akurat masz kasę na terapeutę. Albo tym dziwnym napięciem w karku, który próbujesz rozmasować, oglądając tutoriale na YouTube.

Nie ma tu żadnych wielkich przełomów, o których piszą w tych wszystkich książkach w stylu „Jak zostać milionerem w trzy dni, sprzedając kurz z odkurzacza”. Nie znajdziesz tu złotych rad, jak odkryć siebie w siedem dni, medytując na worku z ziemniakami. Jest tylko seria mikropęknięć, z których składa się psychika człowieka. Ten moment w podstawówce, kiedy na wuefie nikt nie wybrał cię do drużyny i czujesz się jak ostatni przegryw, taki, co to nawet pies sąsiada nie chce go obwąchać. Ta dziewczyna, która powiedziała: musimy pogadać, a ty wiesz, że to koniec świata i zaraz będziesz musiał zmienić status na Facebooku na „to skomplikowane”. Ten jeden raz, kiedy zebrałeś się na odwagę, żeby być sobą – i od razu pożałowałeś, bo świat pokazał ci, że bycie sobą to sport ekstremalny bez ubezpieczenia.

Jeśli brzmi to banalnie – świetnie. Bo właśnie banały są najskuteczniejszą formą przemocy domowej, jaką społeczeństwo funduje naszym emocjom pod przykrywką dobrych

rad i troski. Nieważne, małe, nie przesadzaj, inni mają gorzej. Te słowa to cichy morderca autentyczności, działający skuteczniej niż dieta kapuściana.

Ta książka jest o tym, co się dzieje, gdy człowiek nie potrafi już dłużej wmawiać sobie, że wszystkie te „nieważne rzeczy” tak naprawdę go nie ukształtowały. Nie zrobiły z niego tego, kim jest teraz. Przestraszonego dorosłego, który udaje, że ogarnia życie, a w rzeczywistości nie wie, jak zapłacić rachunki bez instrukcji z internetu.

Piszę o przeszłości nie po to, żeby ją rozdrapywać. Piszę, żeby odzyskać teraźniejszość. Tę, w której nie musisz już nosić maski „wszystko jest super”, nawet gdy w środku masz armagedon. Tę, w której możesz po prostu być sobą – nawet jeśli oznacza to bycie trochę dziwnym.

Nie będę ci niczego tłumaczył, nie mam żadnych porad ani złotych myśli do powieszenia nad łóżkiem. Mam tylko opowieść, która może cię uwierać jak źle dobrana bielizna. Może zobaczysz w niej kawałek siebie. Kawałek swojego lęku, swojego wstydu, swojego cichego krzyku o to, żeby ktoś w końcu zauważył, że jesteś. Po niej poczujesz się trochę mniej jak kosmita.

Wszystko to banał. Ale jak dobrze się wsłuchasz – to słyszać krzyk. I to jest, kurczę, twój krzyk.

wszyscy jesteście Luckiem

To nie ja byłem dziwny. To oni spali.

Czas zwalniał. Mijała zaledwie minuta, a ja już wierzyłem, że wychowawczynie ukryła papiery adopcyjne. Tłukła łyżką o garnek z zupą, jakby to był gong zwołujący na moją egzekucję. Nikt nie chciał tej zupy. Nawet muchy od niej odlatywały. Zresztą kto normalny chciałby jeść zupę mleczną bez pistoletu przy głowie?

Ale musiałem jeść. Zasady to zasady. „Nie odejdziesz, dopóki nie zjesz.” Ktoś uznał, że traumę da się wymieszać z kaszą manną. Spojrzenie w okno nabierało statusu nielegalnego marzenia. Tam gdzieś była mama. Albo już nie. Poszła do sklepu. Albo do ratusza podpisać dokument o zrzeczeniu się praw. Wykreślili mnie z rodziny i z grupy Żabki. Spytałem raz:

- A jak rodzice po mnie nie wrócą?
- To się dzwoni po odpowiednie służby – odpowiedziała pani Teresa z uśmiechem tak szerokim, jakby naprawdę na to liczyła.

Od tego czasu miałem plan ucieczki. Sprawdzałem codziennie, jak długo zajmuje mi założenie butów. Mój rekord: czternaście sekund. Wystarczająco, żeby zniknąć, zanim znowu będzie zupa.

Pewnego dnia mama spóźniła się dziesięć minut. To już nie było spóźnienie. To był sabotaż. Czułem, że lada moment wejdzie pracownica z opieki społecznej i powie: Jesteś teraz własnością państwa. Masz nowe imię: Obywatel 84-067.

Zacząłem szlochać. Cicho, bardzo cicho. Jak w instrukcji: nie płacz za głośno, bo dorośli się wkurzą. Dzieci, które milczą, są wygodne. Dorośli, którzy milczą, są przegrani. Ale między jednym a drugim jest długa droga – w sam raz, by nauczyć się, że każdy dźwięk może być użyty przeciwko tobie.

Pani Teresa dała mi rysunek do pokolorowania i czarny flamaster. Miałem dorysować mamie uśmiech. Dorysowałem wąsy – z zemsty. Za to, że nie przyszła. A pani Teresa dalej się uśmiechała. Tego dnia nauczyłem się, że lepiej kłamać markerem, niż pokazać swój ból. I że dorosłym jest to całkiem na rękę. Nikt nie uczy dzieci, jak mówić o tym, że coś boli. Za to wszyscy uczą, jak ładnie się uśmiechać. Potem bardzo się to przydaje – zwłaszcza gdy nie chcesz, żeby ktoś zobaczył, jak się rozpadasz.

Przedszkole. Fabryka małych obywateli. Zasada jest prosta: nie płacz, nie mów za dużo, nie podchodź do okna bez pozwolenia. Zabawa kończy się o szesnastej. Potem siedzisz

i gapisz się na zegarek, zastanawiając się, czy zostaniesz tu do osiemnastki. Wtedy nie znałem jeszcze słowa „represja”. Wiedziałem tylko, że zupa mleczna to nie jedzenie, tylko kara, i że jeśli mama spóźni się więcej niż pięć minut, to zostanę tu na wieki. A jeśli dziesięć – trafię do systemu. Ale przychodziła. Zawsze.

Tu miałem więcej zabawek niż w domu. Tyle że w domu był różowy królik, który mówił tylko do mnie. Jeździł ze mną na sankach, układał klocki i jako jedyny nigdy nie kazał mi czekać na moją kolej. Teraz leży na strychu, w kartonie, między zimowymi kurtkami i pudłem z klockami, które „jeszcze się przydadzą”. Mój jedyny sojusznik. Zamknięty jak dowód rzeczowy. Niektóre kawałki siebie chowamy tak głęboko, że zaczynamy wierzyć, iż to tylko dziecięce zabawki. Ale one dalej mówią. Nawet z kartonu.

Trzeba obalić system. Przedszkole to poligon społecznej uległości. Miejsce, gdzie uczysz się siedzieć prosto i nie pytać, czemu pani patrzy tak, jakby już miała dość. Zamiast tego proponuję anarchistyczny model edukacji. Dzieci uczą się, kiedy chcą i jak chcą. Rodzice wchodzi tylko z kanapkami z nutellą i dostawą czipsów. Ale nie. W rzeczywistości rewolucja kończy się na „Posprzątaj pokój, bo nie dostaniesz czipsów”. I sprzątasz. Bo przecież czipsy są tego warte. Zwłaszcza jeśli masz do wyboru: być sobą albo dostać paprykowe za bycie miłym. No to jesteś miły – i chrupiesz swój kompromis. Zamiast akceptacji dostajesz nagrodę. Zamiast prawdy – transakcję. A potem przez całe życie gromadzisz paprykowe dowody na to, że jesteś wystarczająco grzeczną osobą, by zasłużyć na miłość. I nawet gdy nikt już nie trzyma paczki czipsów nad twoją głową, dalej się starasz. Bo system już dawno cię zainfekował.

Ale czy w przedszkolu naprawdę było aż tak źle? Nie zrobiłem żadnej rewolucji, nie podpaliłem tej budy, nikt mnie stamtąd nie wyrzucił. Nie, nie o to chodzi. Tylko o to, że było wystarczająco, żeby zapamiętać. Na zawsze. Po prostu bawiłem się, siedziałem i czekałem, aż mama mnie odbierze. Albo w końcu wszyscy wyjdą i umrę z nudów i tęsknoty. A przedszkolanka... Wtedy myślałem, że ma z pięćset lat i zna najskrytsze tajemnice życia. Że jak spojrzę, to już wszystko wie. A ona pewnie chciała tylko wrócić do siebie, zjeść coś ciepłego i obejrzeć serial. Powiedzieć: „Dajcie mi spokój, dzieci. Od tych wrzasków pęka mi głowa”. Ale nie mówiła. Uśmiechała się tylko, jakby za każdy uśmiech płacili jej pięćset złotych. Wyobraź to sobie: jeden nie lubi naleśników, drugi nie chce leżakować, trzeci pyta, czemu niebo jest niebieskie i kiedy umrze pies, reszta biega w kółko, a ty po prostu stoisz. Chcesz wybuchnąć, krzyknąć, zawołać: „Won wszyscy!”, ale nie możesz. Musisz zachować

zimną krew. Być wykształconym, empatycznym dorosłym wśród stada obcych dzieci. I pamiętać o uśmiechu.

Byłem tym dzieckiem, które nie chce leżakować. Kminiłem, jak ją oszukać, jak się wymigać z tego przykrego obowiązku. Spać mi się nie chciało, wolałem coś porysować, ale prycze już rozstawione, pościel złożona w kostkę, ubrania na kupce, buty od linijki.

Czekałem na musztrę. Na sprawdzenie legowisk. Starsza oficer podchodzi:

– Dlaczego w twoim posłaniu leży plastikowy dinozaur?

– Yyy... to nie mój... znaczy mój, ale tylko chciałem się nim pobawić, jak inni też będą udawać, że śpią.

Dinozaura skonfiskowano. Porządek musiał być. Teraz mnie to nie dziwi, ale wtedy? Wtedy byłem gotów wzniecić rebelię swoimi małymi rączkami i tupać w proteście.

Oczywiście, że nie tupałem. Po prostu się położyłem. Może właśnie tak zaczyna się to całe „dopasowanie”. Najpierw oddajesz dinozaura, potem siebie. Byle tylko nie robić kłopotu. Zamknąłem oczy, liczyłem barany. Nie pomagało. To się wierciłem. Też nie pomagało. Najważniejsze: nie dać po sobie poznać, że nie śpisz. Wtedy oficer odpuszczał i można było spokojnie fantazjować, co będę robił, jak wstanę. Od tego właśnie się zaczyna. Od jednej uchylonej powieki podczas leżakowania. A kończy się tym, że przed każdą rozmową zastanawiasz się, co powiedzieć, żeby nie przesadzić.

Oj, jakie ja wtedy miałem fantazje... Pościgi samochodowe po przedszkolnym dywanie, takim z narysowanymi ulicami i domami. Dywanowe miasto. Rysunek dinozaura atakującego przedszkolankę. Gdybym wtedy prowadził pamiętnik, Netflix już dawno by to zekranizował, a ja siedziałbym na jakiejś wyspie i patrzył z dumą, jak moje fantazje zmieniają świat. Ale pisać nie umiałem, a najbardziej lubiłem sobie wyobrażać, jak w końcu odwijam się przedszkolance za to, co mi kiedyś powiedziała.

Któregoś dnia robimy szlaczki. Laboratorium ciszy. Każdy przy swoim biurku, jakbyśmy szyfrowali plan ewakuacji z przedszkola. Trójkąty, zygzaki, fale – egipskie hieroglify dla dzieci. Gdyby Tutenchamon wstał z grobu, przeraziłby się, że rozszyfrowano jego notatki.

Siedzę skupiony. Ołówek ściskany w ręku jak skalpel chirurga. Dolna warga przygryziona. Czoło zmarszczone. A szlaczki – perfekcja. Jak wycięte laserem. Czasem rysujesz równo nie dlatego, że lubisz. Tylko dlatego, że chcesz pokazać: ogarniam, mam kontrolę. Nie pytaj, co czuję – zobacz, jak idealnie prowadzę linię. Kolega obok? Jego rysunek przypomina życie po trzydziestce – niby się starasz, a i tak wszystko się rozjeżdża. I

wtedy podchodzi ona. Oficerka systemu. Buty stukają jak metronom opresji. Bach. Batutą w stół.

– Pięknie to robisz. Jak dziewczynka.

Zastygam. Jak dziewczynka? Czyli co, za dobrze? Za ładnie? Za czysto? Przecież jestem chłopakiem. Z plastikowym dinozaurem w plecaku. Stałem na baczność.

– Tak jest, pani kapitan.

Ale już odeszła, nie czekała na odpowiedź. To nie była rozmowa. To był rozkaz. Usiadłem z powrotem i rysowałem dalej. Jeszcze równiej. Jeszcze czyściej. Jakby od tego zależała moja tożsamość. Bo czasem wystarczy jedno słowo, żeby dzieciak zaczął się zastanawiać, czy w ogóle ma prawo być sobą.

Koniec końców przestałem się starać. Gryzmołem, ścisakałem ołówek inaczej, bardziej jak hydraulik niż chirurg. Bazgroliłem teraz jak prawdziwy chłopak – jeszcze tylko brakowało, żebym biegał, rozrabiał, powiesił plakat z gołą babą i remontował starego golfa w garażu z kolegami, co mówią „dawaj, kurla”.

Liczę, że miała w tym cel. Bo inaczej zostałem z nikomu niepotrzebną sztuką rysowania szlaczków z dokładnością kartografa. Zostałem szlaczko grafem. Albo, co gorsza, kaligrafem. Musiałbym wyjechać do Tokio, oglądać anime i jeść ramen z kubka. Czyli po prostu byłbym bezrobotny.

Uratowała mnie. Ale i tak z tym samym perfekcyjnym szaleństwem poprawiam każde zdanie, pisząc tę książkę. Nie za miękko, nie za twardo. Tak, żeby nikt się nie przyczepił. Nawet jak piszę o buntowniku, to w ładnych liniach. Szkoda, że nie pamiętam, jak miała na imię. Wysłałem jej kwiaty. Wtedy jej nienawidziłem. Jak mogłaś, ty... – brzydkie słowa cisnęły się na usta, chociaż ich jeszcze nie znałem. Pewnie więc tylko patrzyłem z wściekłością i myślałem: Ty żabo jedna!

Teraz jestem dorosły. Drzewa nie zasadziłem, ale monsterę mam. Czasem patrzę na tego małego mnie i mówię: „Rysuj, jak chcesz. Tu masz ścianę. Wal po całości”. Wołam panią z przedszkola. „Zobaczy pani. Artysta jak się patrzy”.

Przygląda się, a ja wiem, co myśli. Że przecież niebo nie jest różowe. Ale mam to gdzieś. Bo ten dzieciak jest mój i już nie musi mieścić się w liniach.

Najtrudniejsze w byciu dorosłym? Nie stać się kolejną przedszkolanką dla siebie samego. Dziecko w nas chce po prostu poczuć, że może być sobą. Dorosły w nas za wszelką cenę pilnuje, żeby nie narobić wstydu. I to nie zawsze jest dobra para do życia.

Ale to nie ja byłem buntownikiem. Byli odważniejsi ode mnie. Prawdziwi rebelianci. Jeden z nich to Lucek – jedyny, którego zapamiętałem z przedszkola. Inni rozmyśli się jak

sen. Lucek dosłownie wyjmował fujarę na cały ten system zbudowany przez przedszkolankę. Nie chciał leżakować, ale nie mówił po prostu „nie”. To byłoby zbyt grzeczne.

Wszyscy już przebrani, prycze gotowe, a on – jak rakieta – przelatuje przez salę, leci do łazienki.

– Lucek, mówiłam, żebyś nie biegał na waleta!

A on dalej biegnie. Bez gaci.

To był przedszkolny prorok. Chciał nam pokazać, że leżakowanie jest dla frajerów, że należy walić panią oficer. Ja jednak tak nie potrafiłem. Udawałem, że śpię. Jedną powiekę miałem lekko uchyloną. No co? Można powiedzieć, że brałem udział w rewolucji jako uśpiony agent.

Dobrze go pamiętam. Był wszystkim, czym ja wtedy nie umiałem być. Albo tylko legendą, którą sobie stworzyłem, żeby łatwiej dało się przeżyć ciszę. Nawet jeśli – to najlepsza legenda, jaką mam. Lepsza nawet niż fakty. Może teraz Lucek wciąż przekazuje prawdę, oświeca ludzi. To do niego jeżdżą do Indii albo na Bali i wracają z mantrą. A ja chodziłem z nim do przedszkola. Też był na waleta, jak guru mają w zwyczaju.

I właśnie za to ci, Lucek, dziękuję.

Jestem wystarczający. I co to za pytanie, czy pasuję do grupy? To ja jestem grupą. Można się nie zgodzić. Nie odezwać. Wyjść. Albo zostać, ale bez zgody w oczach. Można nie klaskać, gdy wszyscy klaszczą. Można nie mieć racji, ale mieć siebie. Można się nie śmiać z żartów, które nie są śmieszne. Można nie chcieć grać w głuchy telefon z rzeczywistością, która nie rozumie twojego języka. Można po prostu siedzieć z boku. Tak mówię temu dziecku, które nie chciało leżakować, ale musiało. Które myślało: Czy ja na pewno tu pasuję? Czy ze mną wszystko jest okej?.

Tak, pasujesz. I wszystko z tobą okej.

Wiele lat później spotykam faceta. Przypadkiem. Bezdomny? Obywatel świata? Nie wiem. Przysięgam, to był Lucek, ale w innym wcieleniu. Lucek – to znaczy ten facet – pyta:

– Panie, którędy pod Pałac Kultury?

Pokazuję mu ręką kierunek.

– W lewo, potem w prawo. Zobacz pan, nie da się przeoczyć.

Już prawie wsiadam na rower, a on wyciąga pogiętą paczkę czerwonych szlugów.

– Palisz?

Odpalam, choć nie palę, a on gada i gada. Francja – „w Paryżu to ludzie mają inne tempo, ale wszędzie śmierdzi”. Afganistan – „nigdy nie mów nigdy, dopóki nie jadłeś koźlaka z rąk pasterza, co znał trzy słowa po rosyjsku i jedno po angielsku: »fuck«. Rwanda – „a tam, młody, to dopiero jest spokój, ale taki, że się boisz oddychać”. Tylko na Księżycu nie był.

– Ale znam kogoś, kto był – dodaje, zaciągając się głęboko. – I mówi, że z góry to wszystko wygląda jak jeden wielki dowcip.

Milknij na chwilę. Patrzy gdzieś obok mnie, jakby widział coś, czego ja nie widzę.

– Młody, pamiętaj. Największe rzeczy dzieją się tam, gdzie jest cisza jak na pustyni.

A ja słucham, stoję z papierosem w ręce, który już dawno się wypalił, i nie wiem, co mnie bardziej wciąga – jego historia czy to, że brzmi, jakby opowiadał moją.

– Młody, masz telefon?

Kiwnąłem głową.

– To puść Budkę Suflera.

– Co konkretnie?

– No jak to co. *Jest taki samotny dom*.

Włączam. Dźwięk leci z głośnika w telefonie, cicho, trochę metalicznie. A on zamyka oczy. Przez chwilę obaj milczymy. Myślę: no fajnie, sentymentalna podróż. Złapał mnie za ramię, spojrzał w oczy. O nie, zaraz zaczniesz ryczeć nad utraconymi czasami. A ja? Co ja wtedy zrobię? Poklepię go? Przytulę? Zapytam, czy ma pieniądze na terapię? Niezręcznie. Dwóch obcych facetów w środku nocy przytula się przy Budce Suflera. Nie wiem, co ludzie myśleli. Może dziadek z wnuczką? Czułem się jak w windzie z obcym, tylko że bez muzyki w tle. A wtedy on pstryka palcami i zaczyna śpiewać:

„A po nocy przychodzi dzień,

A po burzy spokój”.

Śpiewa cicho, prawie szeptem, ale bez wstydu. Jakby to było jedyne, co jeszcze trzyma się kupy w tym świecie.

– Ja to napisałem – mówi nagle.

Uśmiecham się krzywo. I już nawet nie wiem, czy kłamię, czy żartuję. Ale wiem jedno: to naprawdę jest jego dom. A ja, nie wiadomo czemu, też w nim jestem. Uliczna mądrość – zapewne to on kiedyś szeptał do Mickiewicza podczas pisania *Pana Tadeusza*. A dziś szeptał do mnie. I przez chwilę wszystko miało sens. Ty, ja, Lucek. Cisza. A potem:

– Czym się zajmujesz w życiu?

Patrzy mi prosto w oczy. Bez ironii, bez testowania. Naprawdę go to obchodzi.

Odpowiadam. Nie silę się na żadną mądrość, mówię wprost, na co on kiwa głową.

– To włóż w to całe serce, rozumiesz? Nie pół. Całe. Bo inaczej szkoda życia.

Mówi tak, jakby właśnie wręczył mi jakieś tanie, rozdarte, przesiąknięte dymem objawienie. Ale prawdziwe. I w tej jednej chwili, tym jednym zdaniem, otworzył mi oczy. Nie musiałem jechać do dżungli, nie musiałem medytować, nie musiałem kupować książek z działu „rozwój osobisty”. To wszystko wydarzyło się na ulicy, między szlukiem a końcówką piosenki. W środku Warszawy. Dałem mu pięć dych i poszedł. Nieważne, czy to był mistyk, oszust czy pijaczek. Coś we mnie zmienił.

Lucek, dziękuję.

Jest w nas ten Lucek. Pytanie tylko, czy w końcu pozwolimy mu wyjść z sali do leżakowania. Bo to już nie system każe nam się dostosować. To my sami codziennie poprawiamy sobie kocyk i szepczemy: „Nie przesadzaj”.

Największa rewolucja? Nie wykrzyczeć prawdę, tylko przestać ją w sobie dławić – nawet jeśli wciąż drży nam głos. Wszyscy jesteśmy Luckiem. Tylko nie każdy ma odwagę znowu wyjść na waleta.